

Marcin Darmas: Dzisiejszy łał światowy jest triumfem neoprotestantyzmu

Emmanuel Macron usiłował mocno zbliżyć się do USA, chciał – by odnieść się do słynnej cytacji Kissingera – być tym telefonem, na który się dzwoni do Europy, gdy chce się załatwić jakiś biznes. Okazał się jednak zwyczajnie zbyt słaby – przeczytaj w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „#Najlepsze2018” rozmowę Karola Grabiasa z dr. Marcinem Darmasem.

Karol Grabias (Teologia Polityczna): Żyjemy w czasach niespodziewanej koniunktury dla populistów i narodowych partykularyzmów, które uderzają w ukuty od 70 lat globalny łał. Czy w epoce Brexitu i prezydentury Trumpa Emmanuel Macron czuje się ostatnim obrońcą zachodniego uniwersalizmu?

Dr Marcin Darmas (Uniwersytet Warszawski): Jak się czuje Macron, tego nie wiem. Możemy jednak wiele wnioskować na podstawie jego deklaracji i politycznych działań. Czy Macron wyłamuje się z logiki populizmu? Mam co do tego bardzo poważne wątpliwości. W moim przekonaniu Macron reprezentuje ugładzoną i arystokratyczną wersję populizmu. Używa on nośnych haseł do celów elektoralnych, jak też by wzbudzać zainteresowanie wśród sondowanych Francuzów. Nie wykracza on poza tę logikę – wręcz przeciwnie, wpisuje się w nią dość istotnie.

Podczas kampanii prezydenckiej w 2017 r. prym w używaniu sloganów populistycznych wiodła oczywiście Marine Le Pen z Frontu Narodowego, na drugim miejscu prawdopodobnie znalazł się Jean-Luc Mélenchon (założyciel lewicowej Niepokornej Francji), a tuż za nimi, czyli wciąż na podium, był Emmanuel Macron, który mówił, że nie chce być kandydatem żadnej partykularnej opcji – ani lewicy, ani prawicy. Jest on czymś w rodzaju liberalno-lewicowej hybrydy politycznej, która należała do socjalistycznego, fatalnego rządu François Hollande'a, lecz nie poszła za nim na dno, uciekając w porę i zakładając swoją partię. To może wydawać się zabawne, bo gdy mówimy o populizmie, to do głowy przychodzi nam popularny od pewnego czasu termin „postpolityka” opisujący to, jak polityka stała się wyzuta z elementów jawnie ideologicznych. Przyjmując takie kryteria, wówczas Macron wpisuje się w logikę postpolityczną. Jednocześnie nie jest przy tym technokratą, bo dąży w swoich reformach do tego, co francuscy konserwatyści nazywają „debolszewizacją”: odciążenia gospodarki od jarzma przerośniętej administracji państwowej, co we Francji jest olbrzymim problemem.

*Macron reprezentuje
ugładzoną i arystokratyczną
wersję populizmu*

By nie odbiegać zbyt daleko od zadanego pytania: polityka Macrona jest pozbawiona wątków ideologicznych, a

więc w jakiejś mierze populistyczna. To pierwsze, co rzuca się w oczy obserwatorowi francuskiej polityki. Kolejną jest to, że Macron – zarówno podczas kampanii elektorальной, jak i dziś, gdy piastuje najwyższy urząd V Republiki Francuskiej – rządzi Francją tak, jak gdyby rządził dużym przedsiębiorstwem. Nie przez przypadek większość publicystów i politologów nad Sekwaną komentowała pierwsze kroki

Macrona w polityce następująco: on jest naszym *golden boyem*, francuskim odpowiednikiem Kennedy'ego, który konstatuje, że powierzone mu przedsiębiorstwo stoi na skraju bankructwa i deklaruje, że będzie umiał je roztropnie restrukturyzować, czyli debolszewizować. W prostych słowach to oznacza oczywiście cięcia: szukanie oszczędności i zwalnianie ludzi. Można by pokusić się na metaforę, że z Pałacu Elizejskiego Macron zrobił start-upa: ma na niego konkretny pomysł i stara się go wprowadzić w życie. Poboczną kwestią jest to, że ten styl rządzenia wpisuje w specyficzne prerogatywy V Republiki. Konstytucja francuska kładzie bardzo silny nacisk na jeden, decydujący ośrodek władzy. Macron świetnie rozumie jakimi prawami rządzi się V Republika i doskonale się w niej odnalazł: tworząc syntezę między typowo francuskim monarchą konstytucyjnym a prezesem olbrzymiej korporacji. Gdybym miał krótko odpowiedzieć na zadane mi pytanie: uważam za śmieszne to, że prezentuje się Macrona jako europejskiego męża stanu i strażnika politycznej przyzwoitości. Jest on oczywiście euro-entuzjastą i tak jak każdy prezydent Francji opowiada się za integracją Starego Kontynentu. Jednak pod pewnym warunkiem: wielka Europa tak, lecz pod egidą francuską. Może więc Macron sam siebie widzieć jako obrońcę spójności Unii Europejskiej, ale jest on również – czy tego chce, czy nie – jednym z rodzimych bohaterów zwrotu populistycznego.

Obok populizmu w skali globalnej borykamy się również z kryzysem euroatlantyzmu. Porażką okazała się ostatnia wyprawa Macrona do Białego Domu, gdzie ten chciał przekonać Trumpa, by nie opuszczał on porozumienia z Iranem i przemyślał ponownie paryską konwencję klimatyczną. Lina pomiędzy USA a Starym Kontynentem słabnie. Jaką wizję euroatlantyzmu i roli w nim Francji ma Macron?

Jeśli chcemy rozmawiać o wizycie Macrona w Białym Domu, możemy zastosować te same co przy poprzednim pytaniu kryteria postpolityczności: wówczas zobaczymy, że rekin biznesu trafił na jeszcze większego rekina. Takiego, który ma większe argumenty negocjacyjne, dłużej prowadzi swój interes, lepiej rozumie w jakich warunkach on przebiega i prowadzi go z istic kapitalistyczną konsekwencją. Wszyscy zastanawiali się, który z nich wyrze większe wrażenie na swoim adwersarzu. Okazało się, że powab młodości i dyplomatyczne argumenty Macrona nie trafiają do starego rekina Trumpa. Prezydent Francji usiłował mocno zbliżyć się do USA, chciał – by odnieść się do słynnej cytacji Kissingera – być tym telefonem, na który się dzwoni do Europy, gdy chce się załatwić jakiś biznes. Okazał się jednak zwyczajnie zbyt słaby.

Można by pokusić się na metaforę, że z Pałacu Elizejskiego Macron zrobił start-upa

Dzisiejszy ład światowy jest triumfem neoprotestantyzmu, filozofii *do it yourself*. I o ile Trump dysponuje

odpowiednim zapleczem, by prowadzić samodzielnie politykę międzynarodową, to Macron nie posiada już takiej mocy sprawczej. Francja – i o tym należy pamiętać – pozostaje pierwszą siłą militarną Unii Europejskiej, ale ma zbyt mało „armat” w gospodarce i ekonomii, by być prawdziwym liderem interesów europejskich i móc reprezentować je za Atlantykiem.

Polityka międzynarodowa Macrona wpisuje się w tradycje V republiki. A dokładniej: politykę praw człowieka i obywatela, które to prawa stały się czymś na kształt zlaicyzowanej Ewangelii, dobrej nowiny w przestrzeni politycznej Francji. Ewangelii coraz mniej skutecznej, bo przemawiające za nią argumenty miały perswazyjną siłę w latach 80. i 90., gdy po drugiej stronie kurtyny istniał namacalny i łatwo definiowalny wróg. Dziś, w zglobalizowanym, interkonektywnym świecie, ta dobra nowina straciła bardzo wiele ze swej mocy, by nie rzec: jest już zupełnie pozbawiona znaczenia. Macronowi zależy na dwóch rzeczach: zintegrowanej gospodarczo Unii Europejskiej oraz na realizacji idei, która stała się popularna zarówno w polskiej, jak i francuskiej publicystyce, to znaczy: Europie dwóch prędkości. Ta koncepcja jest dla niego absolutnie kluczowa. Oznacza ona dalszą integrację państw spokrewnionych gospodarczo jedną walutą i zostawienie na drugim torze państw „nowoprzybyłych” w Unii Europejskiej, do których zaliczamy się my. Współczesne elity francuskie czasem wprost deklarują, że żałują, iż Unia Europejska tak szybko się poszerzała. Jeśli mówimy już o polityce międzynarodowej, to nie można zapominać o jeszcze jednej kwestii: budowie i rozwoju Unii Śródziemnomorskiej, co stanowi kolejny ważny cel prezydentury Macrona. Wynika to z prostego faktu, że Francja nieustannie ma kompleksy związane z jej kolonialną przeszłością. Francuzi dalej spoglądają na basen Morza Śródziemnego i Afrykę Północną z poczuciem głębokiego wyrzutu sumienia. Niestety, Macronowi nie udało się być reprezentantem interesów europejskich za oceanem i nie udaje mu się być żandarmem ładu pokojowego na świecie.

Niemalże rok temu przewidział Pan, że Francja wyjdzie na ulicę przeciwko reformom Macrona, co się faktycznie stało. Protesty przypadają jednocześnie na 50. rocznicę maja 1968. Stąd nasuwają

się dwa pytania: czy Macron jest postrzegany – i czy czuje się – prezydentem liberalnych, bogatych elit? I jak odnosi się z tej perspektywy do rewolucyjnego dziedzictwa 68 roku?

Nie ulega żadnej wątpliwości, że Emmanuel Macron jest prezydentem elit gospodarczych we Francji. Wystarczy skierować wzrok na jego podarunki fiskalne dla tych, którzy zarabiają nad Sekwaną najwięcej i posiadają przedsiębiorstwa istotne dla gospodarki francuskiej: wówczas trudno łudzić się, komu w pierwszej kolejności służy polityka gospodarcza Macrona. Trudno mu się też dziwić: spłaca on udzielony mu na czas kampanii prezydenckiej „dług” za poparcie MEDEFU (*Mouvement des Entreprises de France* – Ruch na rzecz francuskich przedsiębiorstw). Świat biznesu wspierał Macrona w 2017 r. gdy ten był jeszcze kandydatem na prezydenta i on teraz pieczołowicie spełnia zaciągnięte zobowiązania. Świat kapitału jest zadowolony z tego, że Macron debolszewizuje Francję, odciąża aparat państwowy, który stał się zupełnie nierentowny. SNCF (*Société nationale des chemins de fer français* – Narodowe Towarzystwo Kolei Francuskich) to paranoiczne, potwornie zadłużone przedsiębiorstwo: jego dług to 46,6 mld euro! Status kolejarza jest niemal równorzędny ze statusem urzędnika państwowego: z zagwarantowaną ścieżką kariery, z bezpłatną służbą zdrowia na wysokim poziomie, z możliwością przejścia na emeryturę w wieku 50 i 55 lat. Bruksela co rusz goni Paryż za to, że ten nie dywersyfikuje swojej oferty kolejowej, a Paryż wciąż odpowiada prośbami o dodatkowy okres karencji dla reform i wprowadzenia konkurencji dla linii regionalnych. Towarzyszy temu problem z przewoźnikiem lotniczym, który od 3 tygodni znajduje się na skraju strajku generalnego. Kapitał polityczny na tej sytuacji buduje Mélenchon, który jest głównym oponentem Macrona: goni prezydenta

za to, że wręcza podarunki fiskalne bogatym, a zapomina o zwykłych, maluczkich Francuzach poniżonych przez ten system. Tak można odpowiedzieć na pierwszą część pytania.

*Emmanuel Macron jest
prezydentem elit
gospodarczych we Francji*

Jeśli zaś chodzi o dziedzictwo maja 68 roku, to sprawa jest dość złożona. Maj 68 jest we Francji czymś w rodzaju narodowej

świętości. O ile my mamy w sobie gen insurekcyjny z oczywistych względów historycznych, o tyle w DNA francuskim leży gen rewolucyjny. Zostając przy hagiologicznej metaforyce, można powiedzieć, że rok 1789 to absolutna świętość we Francji, z kolei maj 1968 może nie jest święty, lecz z pewnością kanonizowany, tak jak Komuna Paryska. Maj, zwłaszcza w sferze obyczajowości, jest czymś zupełnie nietykalnym i nieustannie się podkreśla, że Francja się wówczas zmodernizowała – a Macron przecież chce być modernistą. Nie słyszałem żadnej jego konkretnej wypowiedzi na temat roku 1968, ale biorąc pod uwagę, że cały establishment – zarówno europejski, jak i paryski – wywodzi się z tego wydarzenia, krytyka tego wydarzenia byłaby z jego strony strzałem w kolano.

Wychodząc poza sferę ekonomii, a wkraczając w sferę kultury: Francję ostatnio zelektryzowało wystąpienie Maryam Pougetoux, szefowej związku studentów na Sorbonie, która zdecydowała się wystąpić w telewizji w hijabie. Jak tradycyjny republikański laicyzm, tak charakterystyczny dla Francji, adaptuje się do wzrostu obecności kulturowych wpływów islamu?

By choćby szkiecowo odpowiedzieć na tak złożone pytanie musimy cofnąć się o wiek wstecz: ustawa o laickości Republiki Francuskiej została uchwalona w 1905 roku jako bunt przeciwko klerykalizmowi i opresyjności religii katolickiej, jej wtrącaniu się do spraw państwowych. Nie przewidziano wówczas, że katolicyzm przestanie być problemem dla społeczeństwa francuskiego w krótkiej perspektywie czasowej. Ta ustawa była garniturem szytym przeciwko religii katolickiej i nie uwzględniała tego, że na przełomie lat 60. i 70. – na zaproszenie generała De Gaulle'a – przybędą do Francji imigranci z dawnych kolonii w Afryce Północnej, by odbudować Francję po zniszczeniach II Wojny Światowej. Jest we Francji bardzo głęboka hipokryzja w tej kwestii, do tego podszyta strachem... Francuskie statystyki nie są w stanie tego objąć, bo nie wolno pytać nikogo o przynależność etniczną – było by to wystąpienie przeciwko kardynalnej zasadzie republiki, jaką jest równość. Nie mogę pana zapytać jakiego jest pan wyznania, bo wówczas złamię konstytucję. Szacuje się, że we Francji jest od 5 do 7 milionów osób wyznania muzułmańskiego: to pierwsza przesłanka, którą możemy przyjąć. Po drugie Francja żyje w paraliżującym strachu przed kolejnym zamachem terrorystycznym. Co warto przy tej okazji zauważyć: we Francji nie obowiązuje już stan wyjątkowy, gdyż po zmianie ustawy jest on permanentny. Zostało to bardzo ciekawie rozwiązane od strony legislacyjnej – co stanowi paradoks, biorąc pod uwagę skalę pretensji Unii Europejskiej wobec praworządności w Polsce, przy jednoczesnym przymykaniu oka na ustawy przegłosowane we Francji, zwłaszcza pod względem ograniczania swobód obywatelskich. We Francji panuje dziedzictwo maja 68 roku. Ono oprócz istotnej liberalizacji życia seksualnego Francuzów, w 1972 roku doprowadziło do uchwalenia ustawy Plevena, która w sposób radykalny ograniczyło wolność wypowiedzi i ustaliła „poprawność polityczną” jako obowiązującą doktrynę.

*Dla Francuza punktem zero
historii nie są narodziny
Chrystusa, tylko narodziny
Republiki*

Pokłósiem tej
ustawy, która
penalizuje
wypowiedzi
rasistowskie w
domenie publicznej,
było powstanie sieci

stowarzyszeń mających zwalczać rasizm. Komentatorzy konserwatywni zauważyli, że te w swoich zamierzeniach pozytywne organizacje zrobiły w istocie więcej krzywdy niż dobrego. A to dlatego, że przyjęły formę czegoś w rodzaju policji obyczajowej. Nie można więc już użyć słowa „arab”, nie można robić „amalgamatu” pomiędzy tymi, którzy się wysadzają w powietrze, a tymi, którzy modlą się na ulicach miast (znowu, wbrew ustawie z 1905 r.). Nie ma więc żadnego wentylu, gdzie można by było wypuścić negatywne emocje. Jest rzeczą zastanawiającą, z jaką łatwością francuska administracja państwowa gani pomniki katolickie – przypomina nam się tu słynna sprawa pomnika Jana Pawła II – a z drugiej strony nie goni, przez wspomniane stowarzyszenia, burek czy hidżabów noszonych na ulicach i w szkołach publicznych.

Czy można postawić ryzykowną tezę: laicyzm tak, ale dla starego, rzymskiego i opresywnego Kościoła Katolickiego, ale nie dla postkolonialnych, skrzywdzonych społeczności muzułmańskich?

Oczywiście, że tak, i stosowanie tych podwójnych standardów dla odmiennych wyznań jest podszyte strachem. Nie chcę tu kreślić rozległej wizji na temat natury islamu, bo autor wydawany przez Teologię Polityczną – Rémi Brague – robi to o wiele lepiej ode mnie. Koran jest świętą księgą, ale jest jednocześnie legislatorem i wizją

państwa, regulaminem życia codziennego, kodeksem postępowania. Francuzi, nawet postępowi, oświeceni i zaopatrzeni w aparat spekulatywny, wiedzą, że jest to tykająca bomba. Można we Francji bić pałką po głowie katolików za obecność ich symboli religijnych w przestrzeni publicznej, lecz gdyby zrobić to z muzułmanami, to może stać się to, co Pascal Bruckner w mojej książce napisanej z Agatonem Kozińskim *Jarzmo wielkości Francji* opisywał jako początek wojny domowej. Francja ma straszliwy problem z poprawnością polityczną i swoją spistością terytorialną. Francuskie media i klasa polityczna nie chcą o tym głośno mówić. Wyłączywszy Marine Le Pen, która również od pewnego czasu uładziła swój język w tej kwestii. Nie chcą o tym mówić, bo to mogłoby się bardzo źle dla nich skończyć.

W exposé po zaprzysiężeniu na prezydenta Emmanuel Macron nakreślił wizję Europy jako spadkobierczyni nowożytnej filozofii praw człowieka, oświecenia i republikańskich rewolucji. Jednocześnie nie wspomniał w nim ani razu o historii chrześcijaństwa. Czy były asystent Paula Ricœura – personalisty i protestanta – wyobraża sobie Europę bez chrześcijaństwa?

Dla Francuza punktem zero historii nie są narodziny Chrystusa, tylko narodziny Republiki. I to jest moja odpowiedź na pana pytanie.

Z dr. Marcinem Darmasem rozmawiał Karol Grabias.

Fot. Chairman of the Joint Chiefs of Staff, źródło: flickr.com, CC BY 2.0